

Piotr Sikorski
Fundacja Imperio



Tarik, jego wielbłąd i piraci

Tekst: Piotr Sikorski
Wydawca: Fundacja Imperio
Słupsk 2023
ISBN: 978-83-961238-6-2

Publikacja wydana w ramach projektu
"Z wami dla was" finansowanego ze środków
Narodowego Instytutu Wolności ze środków Rządowego
Programu Rozwoju Organizacji Obywatelskich PROO
na lata 2018-2030.



www.fundacjaimperio.pl

Tarik zobaczył Boga, gdy ten, kołysząc się na swoim wielbłądzie, zmierzał wprost do jego miasta. Podróżny miał głowę szczelnie owiniętą białym turbanem, a na jego twarzy, zmęczonej długą drogą, malowała się wyjątkowa dobroć i spokój. Chłopiec zwinął dłonie w rulon i czym prędzej przyłożył do oka tą prymitywną lunetę. Teraz widział lepiej. Znacznie lepiej. Teraz już go nie oślepiało słońce wschodzące nad Hobyto i mógł rozpoznać rysy mężczyzny, który delikatnymi kopnięciami poganiał niestrudzone zwierzę.

Znał go. Dobrze go znał ze swoich snów, które wykiełkowały z ziaren wiary posianych w jego młodym sercu przez babcię Waris. Właśnie tak go opisywała podczas długich wieczorów przy ognisku, gdy z tłących się suszonych bydłęcych odchodów unosił się w stronę gwiazdzistego nieba gryzący dym.



Tarik, podobnie jak miliony jego rówieśników na całym świecie, miał swoje skryte marzenia. Na początek chciał mieć własnego wielbłąda. Nie, nie do zabawy. Nie zamierzał ścigać się z kolegami po rozległych równinach regionu Mudug. Chciał jeździć do szkoły. Nic wielkiego! Babcia, zanim odeszła przed rokiem za wielką górę, przekazała mu skarb. Pewnie myślisz, że złoto, kosztowności, może południowoafrykańskie diamenty? Nie! Nic z tych rzeczy! Nauczyła go czytać. Może to i nic wielkiego w świecie, w którym dzieci po sutym śniadaniu idą do nowoczesnej szkoły pełnej komputerów i książek. Słyszał, że niektóre z nich mają naburmuszone miny i strasznie grymaszą. Nie bardzo w to wierzył. On miał jedną książkę, zniszczoną jak jego stare sandały. Babcia dostała ją przed laty od misjonarza z dalekiej Europy. Był na niej wytłoczony złotymi literami napis, ale z całości tytułu ocalały tylko trzy błyszczące litery. Z początku nie wiedział, co oznacza Hol... W książce ktoś opisał życie Boga. No, nie całe, ma się rozumieć. Ktoś pięknie opisał ten czas, gdy Bóg przebywał na Ziemi. Tarik nie rozumiał wszystkiego, a niektóre opisane zdarzenia wydawały mu się bardzo smutne.

Przyglądał się zbliżającej postaci z rosnącym zainteresowaniem. To musiał być on. Wypisz, wymaluj – Bóg. Bez dwóch zdań. Ziemia zaczęła się powoli ogrzewać i unoszące się gorące powietrze zniekształcało obraz. Tarik miał wrażenie, że za pierwszym wielbłądem podążały kolejne, cała karawana objuczona pękatymi bukłakami z wodą. Brakowało im wody. Deszcz nie padał od kilku lat, a Bóg musiał przecież o tym wiedzieć. Babcia powtarzała, że on wie o wszystkim. Serce zaczęło mu bić tak radośnie, że wolał przyłożyć swoją chudą rękę do wystających żeber w obawie, by zaraz nie wyskoczyło. Cieszył się, że ugasi pragnienie i wreszcie porozmawia z Bogiem w cztery oczy. Chciał z nim pogadać o swoich planach i marzeniach. Postać na wielbłądzie była coraz bliżej. Chłopcu wydawało się, że mężczyzna przyjaźnie macha do niego na powitanie. Chciał pobiec w jego stronę, gdy nagle poczuł bolesne, gwałtowne uderzenie kolbą w pierś. Przez okrutnie długą chwilę nie mógł złapać tchu, obraz wędrowca zaczął się zamazywać, aż całkowicie rozplynał się w rozedrganym powietrzu.



Zupełnie zdezorientowany, oszołomiony zaczął rozpaczliwie ratować resztki pięknego snu, gdy kolejne tępe uderzenie pozbawiło go wszelkich złudzeń. Surowy i stanowczy głos jego ojca oznajmił właśnie, że zaczyna się nowy dzień. Nowy, koszmary poranek. To był dzień, którego nadejścia Tarik od dawna się obawiał.

– Wstawaj leniu! Żadnego z ciebie pożytku nicponiu – wołał rozgniewany ojciec.

– Już, już idę tato.

Tarik wołał uniknąć kolejnego uderzenia.

I tak cały był posiniaczony.

Mężczyzna szedł zbyt szybko, by syn mógł za nim nadążyć, dlatego chłopiec niemal biegł, raniąc stopy o ostre kamienie nabrzeża. Byli w porcie. Śmierdzącym, brudnym miejscu, którego Tarik nienawidził najbardziej na świecie. Łódź już czekała i obydwaj dołączyli do cuchnącej załogi. Piraci prawie ze sobą nie rozmawiali, a najstarszy z nich wydawał tylko niezbędne komendy. Wyłączyli w kierunku wód Zatoki Adeńskiej schowanych za Rogiem Afryki, a cel ich podróży był bardzo niebezpieczny.



Chłopiec już od jakiegoś czasu spodziewał się, że ojciec pewnego dnia zabierze go w morze. Mieli tylko siebie nawzajem. Długie, samotne godziny miały teraz ustąpić miejsca tym niebezpiecznym, pełnym napięcia i przemocy chwilom na otwartym morzu. Do tego ta przypadłość, która w naturalny sposób powinna Tarika wyeliminować z marynarskiej braci. Choroba morska osłabiała chłopca, gdy tylko łódź zaczęła się bardziej kołysać na rozpędzonych falach. Pierwsze dwie godziny spędził oparty o zardzewiały reling, nie mając na dodatek czym zwymiotować. Był jak piłka, z której zeszło całe powietrze. Prawdziwy flak!

– Po cholere zabierałeś tego zdechlaka? – odezwał się kapitan. Był stanowczym i okrutnym człowiekiem, a wyraźna blizna biegnąca przez połowę jego twarzy, czyniła jego oblicze jeszcze bardziej odpychającym.

– Nie mam z kim go zostawiać – odparł ojciec Tarika. – Niech się przyuczy, będzie nam pomagał.

– Na razie nie przydaje się do niczego. Niech dorośnie! – odparł kapitan.

– W przeciwnym razie wyląduje za burtą.

Płynęli dalej w milczeniu, niektórzy tylko cicho nucili pod nosem starą piracką przyśpiewkę. Na horyzoncie nie pokazywał się żaden statek, tylko coraz ciemniejsze chmury zwiastujące szkwał. Morska burza nadciągała, nie wróżąc niczego dobrego.

Po brudnej twarzy Tarika popłynęły łzy, znacząc na policzkach smutne meandry trudnego dzieciństwa. Chłopiec schował się w kącie, wtulając się w stertę starych żagli. Był głodny, wystraszony i bardzo, bardzo smutny. Z lękiem spoglądał w stronę horyzontu, za którym schował się ład. Wiedział, co się niebawem stanie. Widział już w swoim życiu toksyczne tsunami. Po kolejnym silnym sztormie morze ponownie wyrzuci na plażę połamane plastikowe beczki i fragmenty rozsypujących się kontenerów. Woda zabarwi się mazią o dziwnych kolorach, a w powietrzu przez wiele dni będzie się unosić gryzący fetor.

W kącikach spieczonych ust Tarik poczuł gorzki smak kolejnych łez. Jego serce biło w rytmie afrykańskich bębnów. Było mu żal.



Nieraz widział podpływające do brzegów statki. Nie, nie zawijały do portu, tylko porzucały coś w płytkiej wodzie. Nie wiedział, co to jest, ale czuł, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Było mu żal. Chciał coś zrobić dla swojego kraju, dlatego pragnął się uczyć. Wiedział od swojej babci, że to właściwa droga. Tymczasem siedział skulony w kącie pirackiej łajby i do wielkich kropel nadciągającej ulewy dodawał swoje ciche łzy. Jego smutek był ogromny jak ocean, wielki jak afrykańskie słonie, potężny jak legendarne Kilimandżaro.

Ciemne chmury gęstniały z minuty na minutę. Piraci na rozkaz swojego dowódcy zajęli się ożaglowaniem, umocowali wszystkie przedmioty i oczekiwali zderzenia z furią rozszalałej natury. Ojciec Tarika również był zajęty ciężką marynarską robotą. Nikt nie interesował się losem dziesięciolatka, który z walącym sercem przeżywał swój pierwszy morski koszmar. Czuł się teraz bardzo samotny. Jeden z marynarzy rzucił mu kawałek suszonej ryby. Tarik pochłoniął ją w pośpiechu, chociaż smakowała jak brudny kawał soli.



- Obserwuj chmury! – rozkazał marynarz.
 - Patrz, w którą stronę się przemieszczają, zajmij się czymś i ucz się, skoro masz nam pomagać.
- Nie o takiej nauce marzył Tarik. Chciał poznawać świat i rozwiązywać jego wielkie problemy. Miał serce wielkie, jak afrykańska ziemia. I tym wielkim sercem chciał się dzielić. Był wrażliwy i pełen szlachetnych pragnień.
- Tu jesteś! – usłyszał głos ojca.
 - Tato, popatrz. Ja obserwuję pogodę. – Chłopiec chciał zasłużyć na najmniejszy przejaw ojcowskiej miłości.
 - Obserwuj, obserwuj. Tylko mi nie wpadnij do wody.
- Ojciec nachylił się do ucha swojego dziecka i dodał:
- Obserwuj i wypatruj też dużych statków. To nasz cel, pamiętaj. Bądź czujny.
- Mężczyzna, z nadzieją w przekrwionych oczach, spojrzał w ciemniejące niebo.
- Może przejdą bokiem – pomyślał na głos, po czym wrócił do swoich zajęć.



Piracka łódź płynęła dalej, ocierając się o skraj wielkiego szkwału. Za prawą burtą falowała w powietrzu ściana wody. Nie można było dostrzec, gdzie kończy się deszcz, a zaczyna ocean. Płynęli w nadziei, że nie trafią w sam środek żywiołu. Gdy zapadła noc, jeden z piratów, stojący na dziobie, krzyknął, próbując wydobyć z siebie głos silniejszy od huraganowych wiatrów: „Światła na prawej burcie!”.

Wszyscy dopadli do poręczy, starając się przeniknąć wodną zasłonę, by ujrzeć swoją potencjalną ofiarę. Reling groźnie zatrzeszczał pod naporem kilkunastu mężczyzn. Łódź kołysała się na wściekłych falach, a Tarik miał fioletową skórę. To wszystko było ponad jego siły. Mógł znieść samotność, oswoił się ze smutkiem, a nawet przywykł do głodu, którego uczucie prawie nigdy go nie opuszczało. Nocne polowanie to było za wiele dla takiego wrażliwego chłopca. Noc i paralizujące uczucie strachu obezwładniło go i trzymało w żelaznym uścisku. Teraz jeszcze bardziej tęsknił za równinami czerwonej ziemi i swoim skromnym domem wciśniętym pomiędzy stragan z warzywami i warsztat garncarza.



Tęsknota rozrywała jego młode serce i już nie miał siły płakać. Poczul tylko, jak ktoś unosi go z mokrego pokładu i zanosi do kajuty. Przez chwilę widział jakieś drobne, maleńkie światełka. Nie wiedział, czy są to gwiazdy, które zdołały się przebić przez gęstą zasłonę z chmur, czy może dalekie światła statku, który z pewnością nazajutrz padnie ofiarą pirackiej przemocy.

Naciągnął na siebie szorstki koc i próbował uciec w sen, zapomnieć o swoim położeniu z nadzieją, że obudzi się w lepszym świecie. Marzył jeszcze przez chwilę o poranku pełnym słońca, szklance mleka i uśmiechu swojego przyjaciela, syna właściciela warzywnego straganu. Do jego uszu dochodziły słabnące odgłosy marynarskich stóp i przekleństw. Miał wrażenie, że wiatr ucichł. Balansował na granicy snu i jawy. I już nic nie słyszał. Nie obudził go hałas, obudziła go cisza. Otworzył oczy i... jakby znalazł się w innej krainie. Ciekawość kazała mu wyjrzeć na pokład. Szedł, ostrożnie przestępując ciała śpiących mężczyzn, wyczerpanych całonocną walką z rozszalałym gniewem oceanu i pogonią za statkiem.



Kontenerowiec umknął im pod osłoną burzy, o wiele groźniejszej dla małej łodzi.

Tarik usiadł na dziobie, oparł się o drewniane skrzynie i próbował wpatrywać się w dal. Łódź dryfowała we mgle tak gęstej jak mleko. Woda parowała, przypominając dym unoszący się nad płonąca sawanną. Siedział tak już od dłuższej chwili, gdy z obłoków mgły zaczął się wyłaniać monstrualnych rozmiarów statek. Morski potwór sunął prosto na nich.

Z wilgotnych oparów wyłonił się metalowy kolos większy od baobabów. Chłopak zamarł, uniósł do góry przerażone oczy, a z ust wyrwał się ledwie słyszalny głos przerażonego dziecka. Pod pokładem jeden z mężczyzn obudził się nagle z bardzo złym przeczuciem. Zdążył tylko pomyśleć o swoim małym synku, gdy poszycie kadłuba roztrzaskało się w zderzeniu ze statkiem, którego w nocy na próżno ścigali. Woda zalała wnętrze i połamane fragmenty łodzi zaczęły tonąć. Większość piratów zginęła we śnie, Tarik i jego ojciec zdążyli tylko wypowiedzieć swoje imiona.

– I kaalmee, fadlan! Pomóż mi, proszę – chłopiec wypowiedział po cichu.



Nie było sensu krzyczeć. I tak nikt by go nie usłyszał, a nawet jeśli, to nie było czasu na ratunek.

Chłopiec opadał na dno powoli, jak liść wirujący na wietrze. Był lekki. Przez powierzchnię oceanu przedostawało się niewiele światła i niebawem wszystko pochłonęła ciemność morskich głębin.

Tarik opadał i opadał. Nie czuł już bólu, głodu i strachu. Wydawało mu się, że znowu śni. Zobaczył go znowu, ujrzał Boga zmierzającego do miasteczka. Podróżny kiwnął na chłopca siedzącego w bramie, opartego o ścianę z cegieł zlepionych gliną. Tarik uśmiechnął się, widząc, że Bóg woła go do siebie.

– Dokąd tak pędzisz? – usłyszał za sobą głos przyjaciela.

– Zaraz wracam! – odpowiedział, nie oglądając się za siebie. Nie chciał ponownie stracić takiej możliwości. Chciał koniecznie powiedzieć Bogu, że afrykańskie serce krwawi, że afrykańskie dzieci płaczą.

Biegł co sił w nogach. Przybysz pochylił się i rozpostarł ramiona w powitalnym geście.



– No, jesteś wreszcie – przyjaźnie powitał go Bóg.

– To naprawdę ty? – zapytał chłopiec, jakby chciał się utwierdzić w swoim niezmiernym szczęściu.

– Nie odchodź, nie możesz. Chodź, zaprowadzę cię do mojego ojca – chłopiec nie dopuszczał gościa do głosu.

– Zgoda, ale muszę ci coś pokazać. Mam coś dla ciebie. Spójrz – Bóg powiedział to tak, jakby od zawsze się znali.

Zza karawany wyłonił się młody wielbłąd, trącając chłopca swoim mokrym pyskiem, jakby też chciał się przywitać.

– Wielbłąd, jaki wspaniały! – zachwycił się Tarik.

– Dbaj o niego – odrzekł Bóg ze spokojem w głosie.

Tarik spojrział w stronę niezwykłego gościa.

– Jak to...?

– Dbaj o niego. Jest twój. Będziesz zanosił wodę swoim spragnionym braciom.



Tarik nie posiadał się ze szczęścia. Wtulił się w wygiętą szyję wielbłąda, a gdy się obejrzał, Boga już nie było. Tylko w promieniach wschodzącego słońca rozpływała się odchodząca powoli postać. Tarik pomachał mu na pożegnanie i jeszcze mocniej przytulił swojego upragnionego wielbłąda. Teraz będzie mógł pomagać ludziom z miasteczka i będzie mógł jeździć do szkoły.

Tarik otworzył jeden ze skórzanych bukłaków i polał wodą swoją spieczoną twarz. Nie wiedział, czy to pochłania go ocean, czy ziszcilo się jego największe pragnienie. Spojrzał raz jeszcze w stronę oddalającej się postaci i już wiedział...





Sfinansowano ze środków Narodowego Instytutu Wolności –
Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego
Rządowego Programu Rozwoju Organizacji Obywatelskich
na lata 2018–2030 PROO



ISBN: 978-83-961238-6-2
Słupsk 2023

